

REDAKTOR PRZEKORNY

- W jakich podstawowych dziedzinach zakłada 7-letni plan produkcji prześlęgnięcia USA produkcję na głowę Indonezji?
5. Wywnioskować nawiązanie do dziełkiego agrobiologa — twócy wielu odmian skrzyżowanych roślin (z jego imieniem związany jest ruch eksperymentalny w rolnictwie).
6. Jaka roślina paszowa ma stanowić podwalinę rozwoju hodowli w ZSRR?
7. Wymienić przynajmniej dwómistrzów w ZSRR znanych z fabryk traktorów.
8. Wymienić nazwisko wybitnego specjalisty w dziedzinie rolnictwa radzieckiego — przewodniczącego zarządu „Przyjaźń”. Przyjaźń Radziecko-Polskiej.
9. Jaka podstawowa roślina zbożowa ma uprawiana być głównie zagospodarowanych ugorach ZSRR?

Odpowiedzi na pytania naleśyadysłać pod adresem redakcji „Przyjaźnia” w Warszawie ul. Kredytowa 7A, 00-610 Warszawa 20 grudnia br. (z dopiskiem na kopercie — Konkurs „Czy zna rolnictwo radzieckie”).

Czar twoich kółek

Za kierownicą

Polska jest krajem rozwijającej się motoryzacji. Wystarczy tylko spojrzeć na drogi naszego województwa, na ulice miast. Setki aut pędzą w różnych kierunkach. Wiozą ludzi, materiały budowlane, sprzęt. Warszawy, Skody, Stary, motory. A w każdym wozie za kierownicą człowiek, w rękach, którego spoczywa los nieraz kilkudziesięciu ludzi.

Dróżnicy nie pracują w zależności od potrzeb, lecz o godzinie do godziny. Nad ranem więc stan bezpieczeństwa na nie posypanych drogach pozostawia wiele do życzenia. Wciąż bardzo groźni są pijacy kierowcy, szaleńcy nie przestrzegający przepisów drogowych, kierowcy — przy mijaniu nie zmieniający świateł, „Specjalizują” się w tym zwłaszcza kierowcy ciężar-

SPOSOBY ZARADCZE

Kierowcy bardzo chętnie dzielą się fachowymi uwagami na temat środków zaradczych, wskazują na sposoby rozwiązania trudnej sytuacji na naszych drogach. Oto niektóre wypowiedzi: Ruch pieszy powinien odbywać się na drogach lewą stroną, tak jest np. w Czechosłowacji. Uniknłoby się wtedy wielu wypadków. Więcej pasów drogowych namalowanych na jezdniach, które oddają wprost nieocenione usługi podczas mgły. Inna ciekawa wypowiedź: — kontrola milicji na drogach powinna być niewidoczna, bo jeśli kierowca widzi milicjanta natychmiast stosuje się do wszystkich przepisów drogowych. Gdy natomiast nie obawia się „drogowej” na szosach, robi wiele głupstw, które mogą spowodować wypadek.

Problem kierowców nie jest bynajmniej błahy. Obchodzi on wielu ludzi. Starsi, doświadczeni kierowcy mieliby tu wiele do zrobienia, wpływając wychowawczo na swych niesumiennych kolegów. Większą troską trzeba otoczyć młodych, którzy dopiero uczą się tego odpowiedzialnego zawodu.

WIĘCEJ SZKOLENIA

Tak brzmi jednogłośnie stwierdzenie wszystkich kierowców biorących udział w ankiecie. Obecne kursy samochodowe są niewystarczające.

a kierowca po ich ukończeniu doszła się na własnym lub firmowym wozie, co jest bardzo ryzykowne i zawsze może grozić rozbiciem auta. Więcej praktyki, więcej jazd, zarówno dla amatorów jak i dla początkujących kierowców zawodowych.

JACEK ŻUKOWSKI

wel, rowerzyści jadący po kilku, furmanki bez świateł, pijani motocykliści.

Dużo odcinków dróg na zakrętach zasłaniają np. drzewa, żywopłoty. Należałoby w tych miejscach zwiększyć widoczność dla kierowców.

Uwaga rodzice! W czasie zimnych dzieł urządzają sobie na drogach ślizgawki, co stwarza dodatkowe poważne niebezpieczeństwo. Należy stanowczo przeciwdziałać tego rodzaju wyrykom.

Z kolejną naszą ankietą zwróciliśmy się do kierowców. Jak oni sami oceniają stan bezpieczeństwa na naszych drogach, jakie proponują środki zaradcze. Wśród odpowiedzi na pytania ankietujących się kierowcy z PKS, pracownicy baz transportowych, taksówkarze.

PRZYCZYNY WYPADKÓW

Ponad 40 proc. jako główną przyczynę wypadków drogowych podaje — nieprzestrzeganie przepisów drogowych. Szczególnie dużo uwag pada pod adresem młodych kierowców jeżdżących na „Starach” i wywrotkach. 27 proc. ankietowanych odpowiada — słabe opanowanie zawodu kierowcy, ryzykancka, brawurowa jazda. 15 proc. — stan nietrzeźwy, 9 proc. — złe drogi, złe warunki atmosferyczne.

Rzecz charakterystyczna — według opinii zapytywanych najczęściej kłopotu podczas jazdy sprawiają im kierowcy innych pojazdów — 68 proc. odpowiedzi. A dopiero na dalszych miejscach są przechodnie — 18 proc.

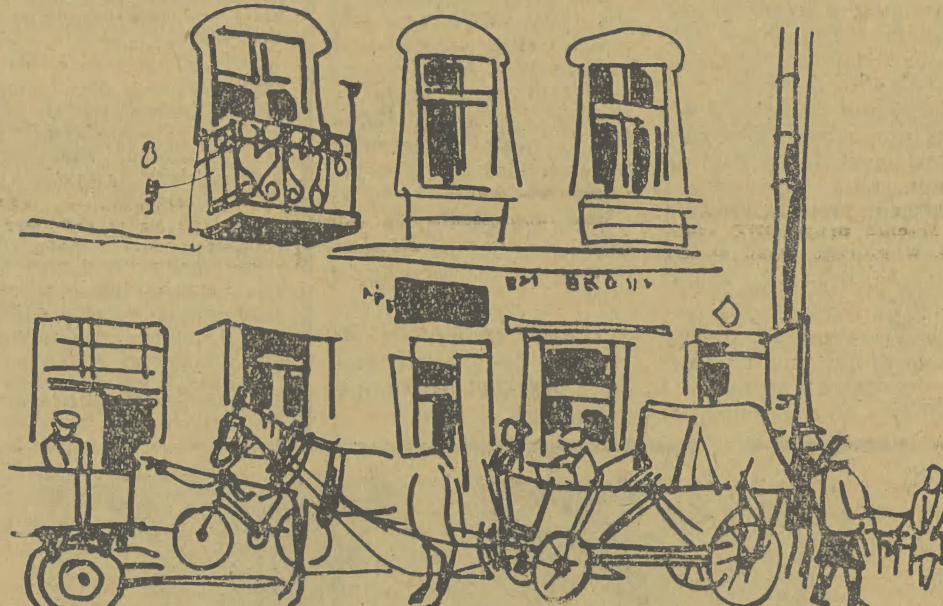
TRUDNOŚCI RUCHU DROGOWEGO

W mieście. — Zasadniczą trudnością są wąskie ulice, szczególnie w starym Krakowie. Na domiar złego przy największym nasileniu ruchu, podczas dnia sklepy są zapatrzone w towar. Wozy ciężarowe i szerokie platformy blokują i tak już wąskie przejazdy. Po kilku znakach na słupie nie robi wrażenia przejrzystości i w tej sytuacji łatwo można którychś „przegapić”. Stare szyny tramwajowe — to dalszy mankament utrudniający jazdę w mieście.

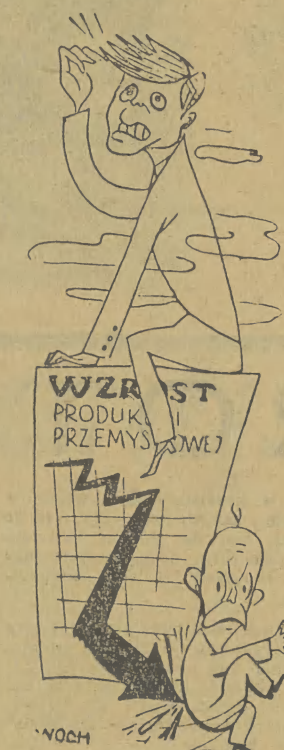
NA SZOSACH

Szczególnie w obecnym okresie jesienno-zimowym na wielu drogach brak piasku.

Z notatnika A. Wasilewskiego



...W małym miasteczku wre jak w ulu. Wszędzie tłoczno — gwarno — jakby cykl przyjechał... Nie wbieżesz nawet dyszla na ulicy — a o zaparkowaniu furi z siennym szkoda marzyć...
...Ludziśka wchodzi, wychodzą — jak by te sklepy były bramą przechodnią... Czegoś szukają, coś chcą — a prawdę mówiąc nie wiedzą czego chcą...
...Chcieliby jeszcze kupić to — tamto — a okazuje się, że wszystko mają u domu...
...Wracają więc furką stłoczeni, zmęczeni, syty uciążliwych przedświadczeń, — że byli w mieście, że oglądali wystawy, że chcieli coś kupić — tylko właśnie tego nie było...



TYDZIEŃ JAN PELCZARSKI W POLITYCE

CHMURY NAD USA

„W tym roku okres świąteczny” — pisze „New York Herald Tribune” — nie przyniesie dużo radości wielu z 250 000 mieszkańców. Wchity. Podczas ostatnich trzech lat zatrudnienie w zakładach produkcyjnych spadło o 36 proc. Ewentualna chęć wyjazdu z miasta i szukania pracy gdzie indziej tłumiona jest tym, że mało jest w Stanach Zjednoczonych miejsc, gdzie obcy może dostać pracę. Wiatr z pręty wyje na ulicach tego miasta Środkowego Zachodu, kolorowe lampki świątecznej dekoracji rozwieszone na niemal pustej ulicy wstrząsane są podmuchami.”

Taki obrazek w czarnych barwach nakreślił amerykański dziennikarz, w obrazowałą sytuację, w jakiej rząd w USA obejmuje nowy prezydent Kennedy. Oczywiście los miasta Wchity nie jest typowym dla amerykańskiej rzeczywistości. Ale faktem jest, że liczba bezrobotnych stale wzrasta i wynosi już ponad cztery miliony ludzi. W 1/3 okręgów przemysłowych liczba bezrobotnych przekroczyła 6 procent ogółu zatrudnionych. Program partii demokratycznej obiecywał osiągnięcie w latach rządów

Kennedy'ego wzrost produkcji przemysłowej o 5 procent rocznie. Realizację programu ma zapewnić m. in. mianowany ministrem handlu Luther Hodges. Nie przystępuje on z optymizmem do powierzonych mu zadań. Uznał za stosowne zastrzeżenie, że sytuacja ekonomiczna USA jest znacznie gorsza niż obecny rząd ją przedstawia. „Evening Star” uważa, że Kennedy znajdzie się w trudniejszej sytuacji, niż prezydent Roosevelt, który przed 28 laty obejmował władzę w czasie jednego z największych kryzysów w dziejach USA.

Gromadzą się więc chmury nad Stanami Zjednoczonymi. Kennedy jest jednak dobrej myśli. Ma podobno w zanadrzu serię projektów, które mają zagrozić drogie kryzysowi i urealnić wyborczą obietnicę o wzroście gospodarki. Nie na tym jednak koniec kłopotów. Prawdziwie trudności dla nowego rządu wynikną z dziedzin polityki zagranicznej. Kennedy obiecywał odbudować prestiż USA w świecie. To znaczy odzyskać utracone wpływy w Ameryce Łacińskiej, w Afryce, na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Zadanie to traktuje bardzo poważnie. Świadczy o tym choćby skład zespołu, jaki powołał do kierowania resortem polityki zagranicznej USA. W

tym tygodniu mianowany został sekretarzem stanu Dean Rusk. Brał on udział w wojnie na Dalekim Wschodzie, zna więc problemy Azji południowo-wschodniej. Podsekretarzem stanu został Chester Bowles. Był on przez długie lata ambasadorem w Indiach i występował zawsze za zmianą polityki wobec Chin. Podsekretarzem stanu dla spraw Afryki, mianowany już dawniej Williams, jest młodym i energicznym politykiem. Dodajmy, że mianowanie delegata USA w ONZ Stevensona obliczone było w dużym stopniu na popularność, jaką cieszy się w międzynarodowych kołach politycznych. Ma on odbudować zaufanie do USA wśród delegacji, zasiadających w ONZ.

O powodzeniu wysiłków Kennedy'ego nie będzie jednak decydował prestiż tego czy innego męża stanu, ale polityka, jaką poprowadzi. Że będzie to musiała być inna polityka niż dotychczas, świadczą choćby wydarzenia ostatnich dni. Nie przyznają one głośno departamentowi stanu. Dowodzą raczej, że jak dotąd wszystko toczy się...

STARYMI TORAMI

Histeria antykomunistyczna, zasnana przez Mac-Carty'ego na użytek wewnętrzny, a tak troskliwie prze-

noszona na grunt międzynarodowy przez Dullesa, wyrwała niejedną szczerbę w prestiżu USA na świecie. Choćby w Ameryce Łacińskiej. Potępienie rewolucji Fidela Castro i różnej formy agresji przeciwko Kuby, ani na jotę nie zmniejszyły popularności kubańskiego premiera w krajach Ameryki Łacińskiej. Przeciwnie, zasyłały nieufność w intencje USA i szereg antyamerykańskie nastroje, które prowadziły do wybuchów, jak np. w Wenezueli. Sztandarowym przykładem jednak porażki, jaką przyniosło kontynuowanie



Co tydzień FOTO

Nagrody tygodnia

W bieżącym tygodniu otrzymuje nagrodę ob. LUCJAN KŁEŚK z Nowej Huty za zdjęcie jednej z figur u pomnika Mickiewicza na Ryнку Krakowskim. Fragment jest dobrze uchwycony a gołębini oblatujące — figurę i fruujące wokół niej naciągają jej życia. Dzieciaki dobremu oświetleniu uzyskano plastycznie tak konieczną w fotografii pomników.

Jak zwykle reprodukujemy zdjęcie nagrodzone, co jest dodatkową premią dla uczestników naszego stałego fotokonkursu. I na ten szczegół pragniemy zwrócić uwagę. Dla foto-amatora, którego zdjęcie oglądają tysiące naszych czytelników, jest to wyróżnienie szczególne.

Fotografia podczas ferii świątecznych

Pragniemy zwrócić uwagę foto-amatorów wyjeżdżających poza Kraków na ferie świąteczne, jakie mają możliwości wykonywania interesujących zdjęć. W górach zapewne spotkają śnieg, na ile którego tak wyraziście występują fotografowane osoby lub przedmioty. Świąta to okazja do przywdziewania efektownych ludowych strojów. Zanikające ludowe zwyczaje świąteczne to temat szczególnie atrakcyjny i okazja trafiająca się raz do roku. Wasz foto-kajak czeka więc na ten rodzaj zdjęć z niecierpliwością, przewidując dodatkowe premie.

Ocena nadesłanych zdjęć

ANTONI WAŁĘGA, Przemysł Grupa dziewcząt uchwycona bardzo ciekawie podczas wchodzenia na schody miejskie. Scenka tym bardziej ciekawa, że sfotografowana na gorąco.

KAZIMIERZ ŁADON, Jasio Zdjęcie foto-amatora w postaci autoportretu dosyć oklepane, niemniej w tym wypadku o tyle ciekawe, że zawiera wiele dynamizmu podkreślanego grą rąk i miną twarzy.

Prosimy o nadesłanie dalszych prac.

KAROL WAGNER — Kraków Poruszenie tańczącej grupy wale nie osłabia walorów zdjęcia, wprost przeciwnie, nadaje mu życia, oddaje werwę w tańcu. W tym wypadku efekt ten jest zamierzony.

WOJCIECH LEGON — Zakopane Główną zaletą zdjęcia jest jego bezpośredniość. Do tego scenka aktualna: świąteczna wystawa, zapatrzone dzieci, gałązka jedliny itp.

Nasz prawnik odpowiada...

Ob. ADELA TOSZA, Jaworzno: Aby odwołać świadectwo szkolne, musi Pani napisać do Sądu Powiatowego miejsca zamieszkania wniosek o odwołanie świadectwa — podać dokładne brzmienie świadectwa, świadków, którzy wzięli o tym, że takie świadectwo Pani otrzymała oraz przedstawić jakiś dowód, że wszystkie składy szkolny, która wydała świadectwo, zginiły.

PROSZĘ SIĘ PRZEDSTAWIĆ

— Bardzo chętnie... Przedstawię się tym razem pod pełnym nazwiskiem — odpowiada

Jerzy Broszkiewicz

— Prawda. Przecież jako „Broszek” pisywałeś w sobotniej „Gazecie Krakowskiej” felietony. To było, o ile pamiętam, zaraz po powrocie do Krakowa?

— Tak.
— Od Twojego powrotu z Warszawy minęła 14 miesięcy. Kiedy przyjechałeś, mówiłeś o tym, że wracasz do Krakowa, aby pisać, pracować, gdyż właśnie tu spodziewasz się znaleźć lepsze warunki po temu. Co powiesz na ten temat obecnie?

— Jeżeli chodzi o efekty jakościowe — to rzecz do oceny dla publiczności i krytyki. Natomiast, jeśli mówić o ilości to w ciągu tego roku napisałem więcej, niż w przeciągu kilku ostatnich lat. W Krakowie odwyższaliśmy się od pojęcia „urlop twórczy” i poznałem na nowo, że twórczość to zajęcie, od którego dierze się urlopy... Napisałem trzy sztuki, z których dwie — „Glupiec i inni” oraz „Dziwowa rola Piżwy” są już po prapremierach (Katowice, Nowa Huta), zaś trzecia: „Bar wszystkich świętych” jest w przygotowaniu w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie.

— Czy z Krakowa jesteś zadowolony? Nie zawiodł Cię po 10 latach rozłąki?

— Muszę powiedzieć, że tu, w Krakowie spotkały mnie dwie rzeczy bardzo osobiste, ale mające pewien ogólny aspekt. Pierwsza to znakomity styl współpracy Teatru Ludowego z autorem, a druga to dość wyjątkowa inicjatywa Wydawnictwa Literackiego, które zdecydowało się wydać tom moich sztuk, obejmujący pięć dramatów. Właśnie przy pomocy takich między innymi środków — jeśli byłoby powszechniej stosowane — można by wiele zdziałać dla rozwoju polskiej dramaturgii współczesnej.

— Wprawdzie w Warszawie spędziłeś cenne 10 lat swojego życia, pełnego zresztą sukcesów artystycznych, ale czujesz się chyba krakowianinem? Przecież to tu, o ile pamiętam, stawiłeś tak zwane „pierwsze kroki”?

— Kim się czuję? Urodziłem się we Lwowie. Następnie podzieliłem swoje życie między Kraków i Warszawę. Czuję się więc obywatelom Kraju... Jeśli chodzi o pierwsze kroki to właściwie miałem być pianistą, i właśnie w Krakowie, ostatni raz wystąpiłem jako pianista grając w „Lecie w Nohant” za sceną. To było w 1945 roku. Byłem już wówczas korektorem

i autorem w „Odrodzeniu”. Korektorem byłem fatalnym doprowadzając kiedyś do zamiany pól w literackim małżeństwie Roguszevska-Kornacki. Od tego czasu mam szacunek dla zawodu korektora i fatalistyczny stosunek do korekty w ogóle... W Krakowie wydałem w 1948 roku moją pierwszą książkę — „Oczekiwanie”, za którą otrzymałem nagrodę Ziemi Krakowskiej. W roku 1950 przeniósłem się do Warszawy.

— Czy mógłbyś obecnie podsumować w kilku słowach swój dorobek literacki?

— Mam za sobą 10 książek, sztuk teatralnych — 8, zdaniem muzyków o wiele za wiele felietonów muzycznych, zdaniem innych felietonów o wiele za dużo artykułów publicystycznych, a moim zdaniem w ogóle za mało napisałem, aby o tym dużo mówić.

— „Broszku”, powiedz naszym Czytelnikom (i oczywiście Czytelniczkom) co robisz w wolnych chwilach?

— Ostatnio w ogóle nie lubię wolnego czasu. Bardzo wiele piszę, nie lubię wychodzić z domu, czasem oglądam program telewizyjny...

— Co sądzisz o telewizji polskiej?

— Sądzę, że w krytykowaniu telewizji jest wiele swobodnego snobizmu. Sądzę, że nasz program telewizyjny jest lepszy, niż się na ogół mówi, chociaż mógłby być lepszy od tego jaki jest.

— Jakie masz plany literackie na najbliższy rok?

— Piszę scenariusz filmowy dla zespołu „Start” na podstawie własnej książki dla dzieci „Wielka, większa i największa”. Chcę napisać program dla Wojciecha Siemiona. Będzie to adaptacja Guliwera według mojego pomysłu, który zresztą niewiele ma wspólnego z Guliwerem i adaptacją... Chcę napisać kilka telewizyjnych sztuk kryminalnych dla teatru „Kobra” traktując je jako etudy dramaturgiczne. No, i wreszcie w planach na rok przyszły jest sztuka współczesna i powieść współczesna, o których sporo myślę, ale nic nie chcę mówić...

— A jakie masz plany prywatne?

— W Krakowie po raz pierwszy pomyślałem o „zmotoryzowaniu się”. Czar czterech kółek działa... Przede wszystkim właśnie dzięki pięknym okolicom Krakowa.

Rozmawiał JANUSZ BUDZYŃSKI



Zamek w Nowym Sączu, rys. B. Z. Stęczyńskiego

Nie ma prawie okolicy w ziemi krakowskiej, gdzie nie naktęlibyśmy się na ślady działalności króla Kazimierza, słusznie przez historię nazwanego Wielkim. Mądry ten król i dobry gospodarz — wszystkie szlaki do głębi Rzeczypospolitej wiodące potężnymi szacami obwarował. Pod ochroną kamiennych grodzów chronili się miasta, które zło- to z rzemiosła i handlu zyskując rosły w siłę i bogactwo. Ten właśnie król na miejscu drewnianego grodziska w wid- lach rzeki Kamienicy i Dunajca, na górującym nad okoli- cą wzgórz potężny zamek na skałach kazał zbudować. U stóp tego zamku basztań, wałami, fosą i mostem zwo- dzonym chronionego rozrosło się później miasto Nowy Sącz.

I następni królowie polscy doceniali ważne położenie grodu obdarzając go przywilejami. Trzynastce baszt miał zamek, przez trzynastce cechów rzemiosła sądeckiego bronionych. Jeszcze Zygmunt III „wielkie sumy” na naprawę

EKSPORT DEMOKRACJI

W Radzie Bezpieczeństwa udało się USA stordować podjęcie uchwały w sprawie Konga. A równocześnie nie zaprzestają w wysiłkach, by w Kongu ugruntować się mogła wojskowa dyktatura watażki Mobutu. W imię demokracji made in USA, którą chcą eksportować na teren Afryki, odmawiają odwołania się do decyzji jednej demokratycznej instytucji Konga — parlamentu. Odmawiają wzięcia w obronę więzionego Lumumbi, który — jak donoszą z Kairu — miał wskutek tortur utracić wzrok. „Wydarzenia w Kongu — mówił przed kilku dniami premier Nehru — wywołują głęboki gniew w krajach i sercach mieszkańców Afryki i Azji”.

Można by teraz zapytać: co uczyni prezydent Kennedy, by odzyskać prestiż USA w oczach narodów Afryki i Azji? Na to pytanie nie mamy jeszcze odpowiedzi. Chyba trudno ją będzie znaleźć samemu Kennedy'emu, który nie chce dokonać zwrotu od obłudnych frazesów i gołosłownych deklaracji, do realistycznej polityki, jakiej oczekują narody Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji, w imię powszechnego bezpieczeństwa i poszanowania praw każdego narodu.

NIE OD RAZU POLSKĘ ZBUDOWANO

murów do Sącza posyłał, jednakże gród zaczął się już chylić ku upadkowi.

Starostowie królewscy przestali być dobrymi ojcami miasta, a troskali się tylko o własne dochody. Siad też wieczne spory między możnowładcami, a mieszczanami. Spory te sądził król i przychylnie dla mieszczan wyroki wydawał. Był to już jednak okres szlacheckiej samowoli, a wyroki króla tylko pergaminem pozostali. Do walki też mieszczanie porwali się sami chcąc własne prawa egzekwować. Później miasto i gród zbiedniały, a wały zamkowe kozy i krowy objęły w posiadanie.

Pożary liczne, które nawiedzały miasto nie szczędziły też zamku, który często porządkiem zburzany zatracił pierwotne linie gotyckie i neobarokowe. Ostatni cios zamkowi zadał... kupczak, który prażąc olej dla przyprawy ryb spowodował w 1628 r. pożar, który zniszczył zamek. Reszty dopełniała jedna z najstraszniejszych powodzi w 1813 roku. Mieszkańcy Sącza starali się chociaż szczątki pamiętek uratować. W 1910 r. Komitet obchodu grunwaldzkiego postanowił utworzyć w ruinach zamku Muzeum ziemi sądeckiej. W ciągu lat ofiarności i poświęcenia działaczy powołała zebrać wiele dzieł sztuki i pamiątek przeszłości. Dzisiaj w Polsce Ludowej trwają prace nad zabezpieczeniem i odnowieniem zamku.

Elżbieta Jackiewiczowa

KULTURA czy TRESURA

Wytwornymi kamerdyner obrazili się na niesfornego fotografa, pełniącego obowiązki mozaikisty Małgorzaty. Oto na przyjęcie w pałacu królewskim pan Armstrong Jones włożył szlifierkę kamizelkę! Coś podobnego! A my czytamy o tych dziwactwach i wzruszamy ramionami. Śmiejemy się.

Wzruszamy też ramionami czytając jak Wokulski, ten z „Lalki” Prusa, przeżywa męki wahań i wątpliwości, kiedy nie wie, czy na obiad u państwa Łęskich trzeba włożyć frak czy surdut, czy na śniadanie do hrabiny Karolowej wejść ma do salonu z kapeluszem w ręku, czy też ten nieszczytny kapelusz zostawić w przedpokoju. Tym razem już nie pękamy ze śmiechu, raczej złościmy się. Coż u licha, czy ten człowiek jest mniej wart od innych tylko dlatego, że nie nauczone go, jak się ma ubierać do salonów? Śmieszny stary świat!

Czy znajomość i stosowanie zasad tak zwanego savoir-vivre'u nie jest przestarzałym przesądem, wytworzonym przez klasy uprzywilejowane po to, aby się odrodzić od „tłumu”? I czy zewnętrzna wytworność ma coś wspólnego z istotną wartością człowieka? Byli przecież eleganci studenci-korporanci, którzy pakowali kolegom żyzki w plecy i bili pałkami...

Nie, nie będziemy uważać za jednoznaczne tego, co nazywamy elegancją i wytwornością, czasem po prostu i krótko kultura zewnętrzna — z istotną wartością człowieka. Mam prawo żądać sprawiedliwej oceny człowieka, sprawiedliwej klasyfikacji. Dziś w naszym świecie nie obowiązują sztywne przepisy co do koloru kamizelki, a frak stał się strojem niemal wyłącznie scenicznym. A jednak...

Zosia płakała przez trzy dni i w końcu nie poszła na zabawę, bo nie dostała pięknej spódnicy i sztywnej halki. Maciek przeskakał całe miasto, żeby zdobyć czarny golf i ciemne okulary. A więc znów „przepisy”, tylko inne?

— Obciążenia drobnotęszczańskie — wzruszył ramionami Andrzej i wybrał się na zabawę w pomieści starej marynarce. Stał pod ścianą ironicznie uśmiechnięty, z rękami w kieszeniach i dla zademonstrowania swojej pogardy — nawet nieogolony. Czy był zadowolony? Nie widziałam radości na jego twarzy.

Włóż dwie postawy: dostosować się (i nie tylko w stroju), albo przeciwstawić się. Pierwsza — to skrupowanie przepisów i odosobnienie. Co wybrać?

Zastanówmy się. Czy istotnie tak zwana kultura zewnętrzna nie ma żadnego znaczenia w społeczeństwach nowych, socjalistycznych, w których nie ma uprzywilejowanej elity, kamerdynerów i kolorowych kamizelk? Czy samo życie nie stwarza u nas nowych „przepisów”? A jeśli tak, to dlaczego?

Uprytymyśmy sobie, że kiedy jesteśmy zupełnie sami, np. w swoim pokoju, do którego na pewno w tej chwili nikt nie wejdzie, również zachowujemy się swobodnie, bardziej niedbale. Jesteśmy zyskowi, kłębni, w kawałku trzymamy w palcach, siłkniemy czasem nosem, rozbiieramy się do roszni. Nie dlatego, że nie wiemy, jak trzeba się zachować, lecz dlatego, że nie krepujemy się niczymi obcościami. Ale wystarczy, że jest obok nas choćby jeden człowiek, kiedy już zastanawiamy się nad tym (lub nawykowo sięgamy do skarbnicy dobrych maminnych rad, wyniesionych z domu), żeby tego kogoś nie urazić. Szynkę połozymy na talerzyku, a nos utrzymamy w chusteczce. Widocznie samo obcowanie z ludźmi narzuca nam konieczność takiego postępowania, które ma nie tylko naszą wygodę na widoku, ale i wygląd na innego człowieka, jego wygodę, przyjemność czy przagnienie piękna (estetykę). „Przepisy” postępowania tworzą się więc w toku życia i ludźmi i przez wzgląd na nich. Są przejawem społecznym.

I nie stana się tresurą ani czczą formą, jeśli uświadomimy sobie, że ich źródłem będzie szacunek dla człowieka, troska o spókoj czy estetyczne uczucia ludzi, z którymi obujemy. Kiedyś jem zupę, głosno siorbiąc, nie dodaję apetytu innym w mojej stółce, więc będę dla cicho. Kiedy jestem wściekły i kłnę, drażnię i gniewam innych ludzi — więc zaciśnię zęby i będę milczał. Kiedy na zabawę włożę pomietną marynarkę i pódę nieogolony okazuję lekceważenie i nie przyporęczę nikomu radosnego nastroju. Natomiast bez szerokiej strzyżonej halki i bez okularów a la Cybulski — mogę się bawić doskonale.

W świecie materialnym kulturę jest dość łatwo zdefiniować. Dobre drogi to kultura, błotniste weterpy — to prymitywizm. Mieszkaniec z łożyska — kultura, a budka pod stodołą — prymitywizm. Kłaska uregulowana — to kultura, zalawająca brzozi — prymitywizm. A więc wszystko, co człowiek zrobił, żeby opowiadać naturę, przyrodę — to kultura. A cel: aby życie człowieka stało się wygodniejsze, łatwiejsze, lepsze, ładniejsze.

No a w świecie stosunków międzyludzkich? Kultura to chyba też opanowanie. Opanowanie prymitywnej ludzkiej natury, odruchów, instynktów, porywów — ze względu na własne i cudze dobro.

Odrzućmy więc przesady i nie żądamy tresury. Ale wytworzyć nową kulturę. Aby ludzkom zwyciężymy, takim jak my, było łatwiej ze sobą żyć.

A TO CIEKAWÉ

SURREALIZM

Pierwszy mąż Marilyn Monroe, James Dougherty — wspomina z rozróżnieniem swoją żonę przy okazji jej rozwodu z trzecim mężem, znakomitym dramaturgiem amerykańskim Arturem Millerem: — „To była świetna gospodyni... przyszywała mi guziki, cerowała skarpetki... tylko w sztuce gotowania zdradzała cięgoty surrealistyczne...”

A to ciekawe. A w każdym razie, coś ze SZTUKI (mięsa).

O KOBIETACH

Pierre Daninos napisał ongiś, że: „powiedział o kobiecie, że była kiedyś

piękna — nie jest wcale komplemenciem. To raczej — napisz nów... nagrobku.”

A to ciekawe!

KINO — I ŻYCIE...

Wzrucając się na filmie „Kokoty i Ska” (z Anią Elberg, oślawiona już przez film Felliniego „Śłodkie życie”, a zresztą i nie tylko przez film) — młoda gwiazdka włoskich ekranów, Linda Veras — zalażyła w Rzymie tzw. Call-Girl-Salon. Naśladowczyni „Kokoty i Siki” — zamiesz w swoim salonie, przebywa obecnie w jednym z rzymskich więzień...

A to ciekawe, jak ludzka przejmują się kinem! (her)



DO CZYTELNIKA

Przeziębienie, przeziębienie, przeziębienie... to jest nas od tych dni już piętnaście lat. Wspomnienia bliższych, często równie ważnych faktów, przysłoniły niedługo obraz „początku”. Nielatwie było wtedy, kiedy na każdym kroku stykaliśmy się ze śladami pozostawionymi przez wojnę i okupację. A bywało i tak, że trudno było znaleźć wspólny język z chłopem, który nie chciał wciągnąć, że lekarz przyjeżdżający z grupą sanitarną ma mu nieść pomoc. Przypuszczał natomiast, że zjawiał się w zapadłej wsi dla tajemniczych, bliżej nie określonych celów.

„Początek” Tadeusza Hołty — to powieść o grupie ludzi, która zawędrowała na teren jeszcze bezpański — do wsi, gdzie w nocy słychać było strzały karabinów, a bandy faszystowskich ukrainskich i polskich rozbrajających niebo pożarami.

Tadeusz Hołty — Początek, „Iskry”, s. 202, 15 — zł

Przeziębienie obecnie powieść Borysowa pt. „Ucieczka” powstała w okresie międzywojennym. Na przykładzie człowieka zaborobowanego wyjątkowo własną osobą ukazując autor przykre konsekwencje tego tak bardzo nieszczęśliwego uosobienia. Rozpamiętywanie życiowych niepowodzeń, minionych przeżyć, przekleśnia nie tylko wszelką radość życia, ale prowadzi do bogactwa do zakładu dla psychicznie chorych. Wszelkie środki terapii stosowane przez lekarzy okazują się bezskuteczne wobec warunków sprzyjających rozmyślanom, potęgującym chorobę. Swoją powrót do zdrowia zawdzięcza bohater ucieczce z zakładu oraz przynależnej opiece młodych chłopaków, którzy narzucili mu nowy tryb życia, nie pozostawiający czasu na wspomnienia.

Leonid Borysow — Ucieczka, Przełomka Irena Piotrowska, „Iskry”, s. 178, 3 — zł

Zupełnie nieznaną była rola, jaką odegrał wywiad japoński w przygotowaniu inwazji na kontynent amerykański. Wiele ciekawych szczegółów na ten temat przynosi książka R. Setha opracowana na podstawie materiałów z archiwów ministerstwa spraw zagranicznych i wojkowych Japonii przechowywanych obecnie w USA.

Zacęcie Mandżurii, zdobywcze terytorialne ostatniej wojny i początkowe klęski Amerykanów, w większości wypadków były zasługą masowej akcji szpiegowskiej, zorganizowanej w oparciu o wzory niemieckie i udoskonalonej przez samych Japończyków.

Ciekawą informację podaje autor o działalności wywiadu japońskiego w Ameryce. Ważnym dla jego pracy terenem okazał się Meksyk, gdzie armia projektowała zorganizowanie bazy początkowej do akcji mającej zakończyć się zajęciem terytorium Stanów Zjednoczonych.

Ronald Seth — Tajni agent, „Czytelnik”, s. 301, 25 — zł

Niezmierzalną po raz pierwszy tłumaczona na język polski, wiersze scholardów z XII i XIII w. wprowadzają nas do średnio-wiecznej kultury różny od znanego nam z historii. W owych czasach nie zdaliśmy sobie jeszcze sprawy, że Homer nie jest poetą rzymskim, a Virgiliuszem, a od lat Cicerona dzielił się z nami przez przeszłość dwadzieścia wieki. Średniowiecznego uświata, parającego się mrocznym przedstawianiem rymów podługianym — Ouidiuszemu. Dla nas Ref i Kochołowski — to odległa i zamknięta epoka. Dla wspaniałych XII w. rymowców poeci złotego wieku wydawali się współczesnymi.

Helen Waddell — Średniowiecze wazantów. Przełomka Zofia Wierzecka, „Pax”, s. 452, 30 — zł

Nowa i niezmiennie oryginalna publikacja fest o ostatniej książce Andrzeja Banacha. Opisał w niej wydarzenia z licznych wpraw w krainie bezużytecznych przedmiotów. W podziękowaniu, sprzed dzielników lat kartach do gry dopatrzył się początków sztuki graficznej. Tanie ryciny, półszlachetne kamienie, bilety wizytowe, cudze fotografie i inne drobiazgi — to przedmioty, których wartość zależna jest od taskowego spojrzenia odkrywcy. Karnety balowe pozostały na pamiątkę niejednej kobiecie w szufladzie, a w domu pozostał... na zawieszę mąż wytłaczony.

Andrzej Banach — Podróż po szufladzie. „Wydawnictwo Literackie”, s. 228, 24 — zł

ZUZANNA KOSIEK

POKOLENIE KRZYWDZONYCH

domo po co się do niego bierze. O młodszych wykonawcach nie ma co mówić. Blok — to kryminał, na dodatek nie ma techniki (daj boże wszystkim naszym profesorom choć trochę tej techniki i możliwości różnicowania dźwięku). Osobnym rozdziałem są artyści polscy: Czerny-Stefańska — „nareszcie się skończyło, to było zresztą do przewidzenia”, Smendzińska — „miała w kraju parcie, to fakt, ale wystarczyło, by poleciała do Austrii, no i proszę, tak jak przepowiadano „położyla się na obie łopatki”. Przecież, żeby koncertować, należy choć trochę umieć grać!”

Dobra, wierzącą swym preceptom młodzież słucha. A co latowalnijęjsza — stara się naśladować. Powstaje atmosfera wewnętrznego prześladowania. Dawniej chodziło o na koncerty słuchać muzyki, wrzucić się jej pięknem, podziwiać głęboką mądrość wykonawcy. Dziś, nie! Nie wypadają! Człowiek nie może być przedziśnitym takim głupim! Jeżeli coś jeszcze czuje, to się, powinien z tym szybko terwać! Chodzi więc młody, a więc podatny na wpływy, o ciągłe nie wyrobionym własnym zdaniu artystycznym, muzyki — na koncerty. Chodzi, aby potrawić kłosa gorzkiej, starszego i młodszego muzyka naśladować, a nie całą resztą publiczności.

Czy więc, zdaniem moim nie powinni znakomici profesorowie kształtować sądów swych studentów? Czy nie wolno im swą niewątpliwą wiedzę i doświadczenia przekazywać uczniom?

Oczywiście, to jeden z ich najważniejszych obowiązków. Lecz by ten obowiązek spełniali w sposób właściwy, konieczne jest zachowanie dwóch warunków: muszą liczyć się z faktem subiektywizmu własnych zdań i z niezwyklej wprost podatnością młodzieży w dziedzinie przyswajania sądów. Sądów, które bez całego serwisu warunkujących je obwarowań są — jako „materiał nauczania” — absolutnie nie do przyjęcia. Są w swym antypedagogicznym nastawieniu — społecznie szkodliwe. Dowodzą zupełnej beztroski i braku poczucia odpowiedzialności za wypowiedziane całkowicie słowo. Słowo, które może dowolnie kształtować wrażliwość młodego artysty.

MARIAN WALLEK-WALEWSKI



Jerzy Bober



Rys. P. Wollenberg

A za sceną...

Gong... Jeszcze chwila ciemności na widowni — i kurtozna rozsuwa się. Zapora połyka rozsuwa się. W jasno oświetlonym wnętrzu scenicznym uidać już pierwszą postać dzisiejszego spektaklu. Trwa uciążliwa cisza, nie padło jeszcze ani jedno słowo. I naraz: oklaski. Czyżby witano ulubionego aktora? Trudno go przecież poznać. Kapitałna maska zmieniająca całkowicie znaną poprzednio twarz — odwraca uwagę od nazwiska artysty — narzuca wyłącznie otwo sugestywne wrażenie SPOTKANIA z „magią” teatru... A później, kiedy potoczna się rozmowa na temat przedstawienia — ten i ów podkreśli „znakomity w grze i masce kłaski aktora”. Nawet krytycy teatralni nie odlegnie od podobnych stwierdzeń, co najwyżej oprawiwszy je w kilka błyskotliwych zaawansowanych stylizowanych. Gdy — dla każdego odbiorcy sztuki teatralnej ważne jest to, co widzi i słyszy na scenie.

A za sceną?... Któż pod pierwszym wrażeniem, czy nawet ostatnim — obserwując z zachwytem, śmiechem lub obrzydzeniem „maskę” artysty, która DOPOWIADA poza tekstem autorskim wiele charakterystycznych cech występującej w przedstawieniu postaci — pomyśli o innym artyście, bez oblicza scenicznego, nieznanego zupełnie pośród przeciwnych bywalców teatralnych — a przeciwie WSPÓŁTWÓRCY wiecześnie twarzą aktora?

I dlatego dziś pomówimy nie o konkretnych pozycjach repertuaru jakiegoś teatru — ani o odwołaniach ról. Opuszcimy nazwiska reżyserów, scenografów, kompozytorów i

choreografów. O nich zawsze wspomina się w każdej nocy recenzyjnej, choćby najkrótszej.

Artysta, któremu zamierzamy oddać obecnie głos — przed pół wiekiem zapukał do „Teatru Letniego” mieszczącego się na terenie Parku Krakowskiego, gdzie przyszedł go sam mistrz Henryk Kowalski. Nie widać kim był Henryk Kowalski? — Ależ to znakomitość teatralna! Nikt, tak jak on — nie potrafił sporządzać peruk — a pod jego „czarodziejskimi” palcami twarze aktorów nabierały odpowiedniego wyrazu: młodzi stawiali się zgrzybiałymi starcami, oczy kobiet urzekały „stodaję” lub demonizmem, bezbarwne oblicza rozmieszały groteskowością, nosy awansowały na nochale, „ogórki” i „krugulce”, zamiast gestych czupryn świeciły w blasku reflektorów — jawowe łysiny, choć bywały i naodwrot...

A więc do takiego mistrza „peruki i charakterystyki” — pewnego dnia 1909 roku przybył nowy uczeń. Coż go ścigało do TEATRU? A no, już jego ojciec sprawował funkcję kierownika widowni w Teatrze im. J. Słowackiego, później był kontrolerem biletów w Starym Teatrze. Siostra młodego adepta stawała na scenie, śpiewała w chórze — jeden brat terminował już u mistrza Kowalskiego, drugi również wybierał zawód teatralno-operowy... Można rzec: sprawa rodzinna.

Tadeusz Stepiński zamierzał również związać się z teatrem.

„Urodzony w 1888 r. 9. VI. — w Krakowie, ukończył szkołę 4-klasową ludową i 3-klasową wydziałową. Wstąpił do zawodu fotograficznego, ukończył 5-letnią praktykę operatora, reżyserską i laboranta (1899—1902).”, uzupełniając kursami rysunków i malar-

stwa. Chcąc poświęcić się pracy teatralnej na perukarza — charakterystyzatora zmuszony był odbyć drugą praktykę, fryzjerską...” — tak brzmiał początek życiorysu emerytowanego obecnie (choć pracującego wciąż na półetacie) kierownika pracowni perukarskiej w Starym Teatrze im. H. Modrzejewskiej.

Długo, jaką przeżył mistrz Tadeusz Stepiński — aż do roli pedagoga i wychowawcy kilku pokoleń perukarzy — charakterystyzatorów, ułóża przez teatry amatorskie, „Teatr Ludowy” przy ul. Rajskiej (1914), Tow. Operowe (1920), przez tzw. działówkę u Ludwika Sempolińskiego (1923), operetkę (1924) Teatr „Gong” Waleriego Jęstrzebca (1927), „Bagatela” (1928), „Dom Żołnierza” (1931—1939), Teatr Podziemny (okupacja), Teatr Stary (1945—1960). Łatwo wymienić nazwy i daty. Suche wyliczenia. Pochwały, premie, odznaczenia — cała drabina powiększania kwalifikacji zawodowych — i początek pięknej karty wychowawczej, gdy świetny fachowiec, ba, ARTYSTA — zostaje pedagogiem w szkole zawodowej, z rzadką specjalnością charakterystyzatora, perukarza, kostiumologa... 20 lat służby nauczycielsko-instruktorskiej! Wychowanekowie pracują już w teatrach całego kraju. Stawa po mistrzu Kowalskim — przechodzi kolejno na coraz młodszych...

Iu dyrektorów scen pamięta Tadeusz Stepiński? Iu wielkich aktorów „przeszło” przez jego ręczne, niestrudzone ręce? Toż to cały album ze wspomnień! Ongiś Węgierko, Czarnowski, Grzymała Śledziecki, Warnecki, Fertner, Wesolowski, Solarski, Woźnik, Kłofska, Holoubek, Cebulski, Sadecki Dwornicki Witkiewicz i wielu, wielu innych...

Kiedy w 1945 r. Stary Teatr rozpoczynał pierwszy sezon o okupacji sezon — Stepiński znosił do pustej pracowni perukarsko-charakterystyzatorskiej (gdzie poza nazwą NICZEGO tam nie było) — własnym przemysłem zdobyte materiały, włosy, szminki — żeby można było GRAC sztuki w normalnych warunkach. Pracował wtedy prawie darmo — zażarty nawskroś b a k e y l e m teatru... Wyczerpywał z niczego twarze i głowy artystów. Zawsze uśmiechnięty, uciążliwy i entuzjasta sceny — ZA SCENĄ... I jeszcze — towarzyszył partyjni.

A na widowni — jakże często nie wiedząc nic o skromnym artyście — publiczność oklaskiwała efekty jego twórczej współpracy z aktorem, reżyserem i scenografem. I będzie nadal naradzać bratami te właśnie sztuki, którą przekazał po blisko 50 latach — swoim następcom!

KRÓTKO I WĘZŁOWATO

Tadeusz Kwiatkowski

Tytuł	Niewinni czarodzieje
Scenariusz	J. Andrzejewski i S. Skolimowski
Reżyser	Jerzy Wajda
Produkcja	Polska
Aktorzy	K. Stypulkowska, T. Lomnicki, Z. Cybulski, R. Polański,

Młody lekarz wolne chwile od zajęć (praktykuje jako lekarz sportowy) poświęca jazzowi, grając na perkusji w zespole młodych muzyków. Pewnej nocy po naje przypadkiem dziewczynę. Zaprząsa ją do swego mieszkania, trochę na przekór sobie samemu, trochę by zrobić na złość swemu przyjacielowi...

Bardzo dobrze napisany scenariusz i świetna rola Wajdy, który znowu pokazał swój wielki talent reżyserski, tym razem w filmie kameralnym. Wybitna kreacja Lomnickiego jako młodego lekarza. Aktualna, współczesna problematyka: młódzie, zabawa, jazz, nuda, miłość.

Film zbyt mało oddający kulisy życia społecznego i mógłby się dziać w każdym kraju. Odczuwa się pewien niedostatek realności naszej rzeczywistości.

Wajda zademonstrował precyzję, świadomość warsztat reżyserski, rezygnując z ulubionych i modnych smaczków artystycznych. („Popiół i diament” czy „Lolita”). Stawiam „Niewinnych czarodziei” w rzędzie największych osiągnięć naszego filmu!

Reżyser	Dama kameliowa
Tytuł	J. Zukor
Produkcja	USA (rok 1936)
Aktorzy	Greta Garbo, Robert Taylor, Lionel Barrymore, i in.

Młodym Armandem Duval, ale wybiera bogatego barona, który może zapewnić jej wygodne życie. Noce zabawy i przyjaźni rujnują jednak jej zdrowie. Po pierwszym ataku choroby decyduje się porzucić barona i wyjechać z Duvałem do jego domu na w. Otworzone opłaka i wściekła kochanka przez Armandą pragnie zerwać z dotychczasowym trybem życia. Wtedy sławia się ojciec Armandy...

Największa gwiazda filmu, jaka kiedykolwiek zjawiła się na ekranie — Greta Garbo. Piękna, i wielka aktorka. Cały film and w jednym momencie nie demaskuje się, że został nakręcony 24 lata temu. Duże osiągnięcia realizatorów!

Trochę przesłodzone pełnię i nieco zbyt grubym konturem znaczono postać ościzającą Małgorzatkę.

Należy przydać Centrali Wynajmu Filmów za przypomnienie Greta Garbo starzemu pokoleniu i objawienie młodszemu.

Tytuł	Kolorowe pończochy
Scenariusz	Janusz Nasfeter
Reżyser	Janusz Nasfeter
Produkcja	Polska
Aktorzy	G. Holoubek, S. Miślik, Z. Bodakowska, S. Lipczyńska, M. Celówna, M. Duszyńska, L. Rzeżocki, T. Wiśniewski, A. Kornel, H. Grossówna i inni.

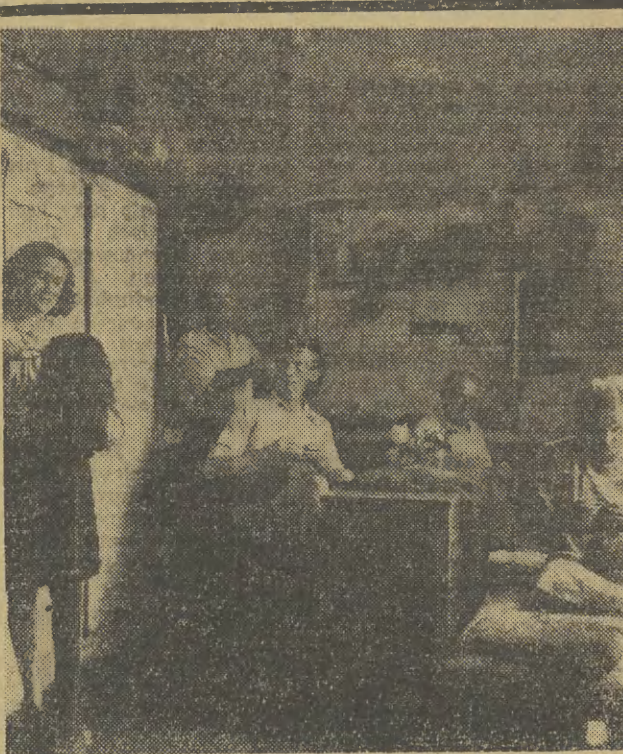
Film składa się z dwóch opowiadań, zatytułowanych „Matylda” i „Jadzia”. Matylda jest dorastającą dziewczynką i pragnie mieć (jak i inne koleżanki) kolorowe pończochy. Niestety, jej biedna i zapracowana matka nie rozumie tego pragnienia. Kiedy jednak decyduje się dać córce pieniądze — Matylda już przeżyła swój problem „kolorowych pończochach”. Jadzia to mała dziewczynka, której rodzice mało zwracają uwagę na wychowanie i postępy córki w nauce. Dziecko znosi wiele przykrości od towarzyszy w szkole. Wreszcie „dziadkowie” (jak ją zwa obrażali) buntują się i ucieka ze szkoły...

Interesujące studia nad psychologią młodzieży. Prosta i zarazem przekonująca metafora w pisownym opowiadaniu. Świetni młodzi aktorzy wykonawcy, zwłaszcza w „Jadzie”. Ciekawe zadanie filmu — zwrócenie uwagi dorosłych na młódzie i dzieci.

Brak powiązania pomiędzy nowelami. Miejskami reżyser spłyca problem nieudolną literaturą.

Nasfeter „proponuje” świat młodych, jego cienie i blaski. Gdyby tylko dysponował lepszym scenariuszem...

Tytuł	W pracowni perukarsko-charakterystyzatorskiej mistrza Tadeusza Stepińskiego. (Sam kierownik pracowni — drugi od lewej).
Scenariusz	
Reżyser	
Produkcja	
Aktorzy	



W pracowni perukarsko-charakterystyzatorskiej mistrza Tadeusza Stepińskiego. (Sam kierownik pracowni — drugi od lewej).

mówią że...

...bardzo intymna atmosfera panowała w czasie pożegnania przyjęcia w rzymskiej ambasadzie W. Brytanii z okazji niedawnej wizyty premiera Macmillana we Włoszech. Obecny na przyjęciu premier włoski Fanfani, dowiedziawszy się, że Macmillan lubi bardzo piosenki neapolitańskie, zasiadł do fortepianu i zagrał „O sole mio”. Po czym obaj premierzy w zgodnym duetie odśpiewali tę piosenkę. Obecni na przyjęciu dyplomaci oświadczyli potem: „Nigdy dotąd spotkanie premierów nie skończyło się tak harmonijnie”.

Mówią, że...

...hojowość pupilka Belgów i niektórych przedstawicieli ONZ, pułkownika Mobutu, jest powszechnie znana. Potwierdzą to zresztą ostatnie wydarzenia, wywołujące u jednych odrazę i potępienie, u innych zadowolenie. Mobutu nie cofa się przed zbrodnią, ale ubiega się także o inne dowody swej „molejowej siły”. Ostatnio wyraził ochotę zdobyć odznakę epichroniarza. Miał w tym celu wykonać kilka skoków z samolotu. Nie dopuścił do tego jednak władze ONZ. Dla nich życie Mobutu jest zbyt cenne.

Mówią, że...

...Randolf Churchill, nie zawsze dorównujący w swej politycznej sławie wielkiemu ojcu, udzielił nieszczeremu laburzysty Benbowi, któremu grozi awans na członka Izby Lordów, następującej rady: „Musisz poprosić o akt zrzeczenia państwowej. Może np. połączyć swój lordowski herb z herbem rodu królewskiego. Wówczas królowa wystąpi do parlamentu o pozbawienie go godności lordowskiej, za taką obrazę królewskiego domu.”

W nocy z 29 lutego na 1 marca br. mieszkańcy marokańskiego miasta Agadir przeżyli potworną katastrofę. Gwałtowne trzęsienie ziemi w ciągu wielu sekund zamieniło miasto w dymiącą stertę gruzów. Kiedyś nazywano Agadir marokańskim Monte Carlo. Maroko po uzyskaniu niepodległości związało z miastem wielkie nadzieje. Agadir był ulubionym miejscem urlopowym dla „wielkiego świata”. Wpływy z ruchu turystycznego stanowiły poważną pozycję w budżecie młodego państwa. W Agadirze istniały wielkie, nowoczesne hotele, które mogły odpowiadać wymaganiom najbardziej wybrednych przybyszów. Agadir dysponował uspaniałą plażą, długości dwóch kilometrów. Najbliższe okolice stanowiły atrakcję dla wycieczkowiczów. Jednym słowem Agadir był rajem dla turystów, dla Maroka pewnym źródłem dochodów.

AGADIR dzisiaj

Wszystko to zostało zniszczone w ciągu jednej potwornej nocy. Dzisiaj Agadir jest jednym cmentarzem. Przybysz nie znajdzie tu dachu nad głową. Ani jeden z hoteli nie ocalał się z katastrofy. W nocy jedynymi żyjącymi istotami w Agadirze są strażnicy, którzy patrolują wśród ruin, by nie dopuścić do rabunków, ukrytego jeszcze pod ruinami mienia.

Na zachód od zrujnowanego miasta powstało osiedle namiotów wojskowych. Powstało ze składów, napływających z całego świata. Tu znaleźli schronienie ci, którzy przeżyli katastrofalną noc i ci, którzy przybyli, by wziąć udział w odbudowie miasta. Codziennie idą do odległego o pięć kilometrów miasta ruin. Pracują przy usuwaniu ruin i nad odbudową miasta. Zaraz po trzęsieniu ziemi, rząd marokański opracował plan odbudowy. Zgodnie z tym planem obok dzielnic przemysłowej, która częściowo uniknęła zniszczenia, powstanie prowizoryczne osiedle mieszkaniowe. Dzisiaj, w dziewięć miesięcy po katastrofie, osiedle to jest prawie zupełnie gotowe. Małe domki budowane z prefabrykatów, zajmują już lokatory. Przyrzeczenie następny tron, księcia Mulay Hassana, że w ciągu roku wszyscy mieszkańcy Agadiru znowu zamieszkają pod dachem, będzie spełnione.

W ciągu dnia miasto ruin nie jest w całości wymarłe. Wszędzie pracują grupy robotników nad usuwaniem gruzów. Praca ta jest nieomal ponad siły ludzkie. Trzęsienie ziemi zniszczyło zupełnie trzy z pięciu dzielnic miasta. Kozba, gliniane domki marokańskie, rozsypane są dookoła w proci. W dzielnicach hoteli ośmiotętrowe budynki zburzone zostały do fundamentów. Robotnicy trafiają codziennie na reszki żubok, zagrzebanych pod gruzami. Składa się je w jednym miejscu, które trzęsienie ziemi pozostawiło nieznikniętym — na cmentarzach. Pod gruzami znajdują się jednak także wartościowe przedmioty. Ich wydobycie związane jest często z wielkim niebezpieczeństwem. Zdarza się, że mury budynków stojące jeszcze, ulegają pod dołknięciem kłofa, bo fundamenty zostały zupełnie skruszone. Wszystko, co zostanie znalezione w ruinach, składają robotnicy w punkcie zbiornym.

Ookk uszowania ruin, uszalenie trwa już praca nad odbudową. Właściciele zburzonych budynków otrzymali od rządu odszkodowanie w wysokości 50% ich wartości. Buduje się więc za pieniądze płynące z odszkodowań, a także napływają nowe kapitały. Ruiny zostaną uprzątnięte w ciągu 1801 r. Odbudowa trwać będzie jednak jeszcze przez cztery lata. Już jednak w pierwszym roku odbudowy przewiduje się możliwość przybycia pierwszych turystów. Agadir dzięki wysiłkowi Maroka, ma się stać znowu kopia Monte Carlo.



Jakimś pobudkami kierował się Herschel Grünspar, gdy w dniu 7 listopada 1938 strzelał do radcy ambasady hitlerowskiej w Paryżu, Ernsta vom Ratha. Na to pytanie odpowiedzieć ma obecnie sąd w Monachium. A tym samym miałyby wyjaśnić jeden z najciemniejszych rozdziałów historii hitlerowskiej III Rzeszy. Zabójstwo hitlerowskiego dyplomaty stało się bowiem pretekstem do pierwszego, masowego pogromu ludności żydowskiej Niemiec w dniu 10 listopada tegoż roku. W ciągu jednej nocy spalono synagogi, zdemolowano większość sklepów i kawiarni, należących jeszcze do Żydów. Wielu obrabowano, skatowano i uwięziono, by później wystąpić ich do obozów śmierci.

Herschel Grünspar miał w 1938 roku 17 lat. 7 listopada 1938 roku, do hitlerowskiej ambasady w Paryżu, żądając rozmowy z radcą vom Ratham. Co rozebrało się za drzwiami gabinetu dyplomatycznego, dokładnie nie wiadomo. W pewnym momencie usłyszano kilka strzałów. Ciężko ranny vom Rath, zmarł w trzy dni później. Grünspar został aresztowany przez policję francuską i uwięziony. Z końca 1940 r. rząd w Vichy polecił wydać go władzom niemieckim.

Grünspar przewieziony został do więzienia w Berlinie. Zaczęto przygotowywać proces pokazowy. Aparat propagandy ministerstwa Rzeszy z Goebbelsiem na czele, pracował na pełnych obrotach. Proces miał udowodnić, że Grünspar zabijał dyplomatę niemieckiego, działał na polecenie światowej rady syjonistycznej. Miał stworzyć pretekst dla antysemickich zbrodni hitlerowskich i wyeliminować je przed opinią światową. Miał być odpowiedzialnym procesowi o podpalenie Reichstagu. W zapowiedzianym terminie proces przeciwko Grünsparowi jednak nie odbył się. Przenoszony z więzienia do więzienia, Grünspar został w końcu uwolniony w 1945 roku przez wojska amerykańskie. Wyjechał do Francji.

Na drodze sądowej nie wyjaśnione więc zostały motywy, jakimś kierował się Grünspar, strzelając do niemieckiego dyplomaty. Dopiero teraz wyjaśnić ma to proces monachijski. Grünspar nie ma jednak na sali sądowej. Oficjalnie został on — na żądanie rodziców — uznany za zmarłego przez sąd w Hannoverze jeszcze z początkiem bież. roku. Na ławie oskarżonych za-

Ciemny rozdział historii III Rzeszy

stał Michał Solitkow. W roku 1948 ogłosił on w jednym z niemieckich pism zachodniopoczątkach z listopada 1938 roku. Na podstawie zebranych dowodów, m. in. aktów z dochodzeń przeprowadzonych przez policję francuską, Solitkow twierdził w swych artykułach, że Grünspar nie działał z pobudek politycznych, ani też nie był przez nikogo namówiony do popełnienia zbrodni. Pobudki, jakie nim kierowały, były zupełnie prywatnej, by nie rzec intymnej natury i dotyczyły miłości, jaką miał do dziewczyny, dyplomatek z niepełnoletnim wówczas chłopcem. Według Solitkova, Grünspar zeznał, że policja francuskiej, co zostało zapisane w protokole, m. in.: „Zabiliśmy go, bo obraził naszą ciężką, pobli i nazwał swinią i szan-tystą”.

To co napisał Solitkow o Grünsparze, doprowadziło go obecnie na ławę oskarżonych. Skargę wniósł brat zabitego dyplomaty, vom Ratha. Uważa on, że Solitkow „zniechęcił pamięć zmarłego”. Tak więc rozprawa monachijska, chociaż de facto chodzi tylko o „ochronę czci” zabitego, wyjaśnić ma prawdziwe motywy postępków Grünspara. Ma wyjaśnić, rzecz inna — czy do takiego wyjaśnienia faktycznie dojdzie. W toku procesu zeznawali już liczni świadkowie. M. in. generały prokurator z czasów hitlerowskich Lautz, który sporządzał akt oskarżenia przeciwko Grünsparowi. Zeznał także b. podsekretarz stanu w ministerstwie Goebbelsa, Gutterer. I jeden i drugi przyznali, że Grünspar działał wyłącznie z pobudek natury politycznej.

Listy NIE Z TEGO ŚWIATA

Brytyjska Royal Navy uwolniona została od nie-byle jakiej troski. Jej u-sunięciu poświęcono był pomyślny memoriał admira-lacji do ministerstwa spraw zagranicznych. Ze swej strony Foreign Office na-wiżyła wymaganą pełną listę telegramów z swym przedstawicielem na Eli-skim Wobodzie. Bo to był kłopot nie lada, Sultana Maskatu i Omanu jest ostoją brytyjskiej widzy nad tym krakiem ropa płynącym. Należą mu się więc szczegól-ne honory. A tu w czasie oficjalnych kontaktów nie można było wiać sultana hymnem jego kraju. Admira-lacja nie potrafiła wystrze-jak to się stało, że z jej archiwum hymnów państwo-wych, zginął numer 82. To były właśnie nuty „Powitania i marszu jego wysokości Sul-tana Maskatu i Omanu”. Zmudne poszukiwania podje-ły we wszystkich jednostkach floty brytyjskiej, nie przy-czyniły się do wypełnienia

ZGUBIONE NUTY...

luki. Znalezione jedynie par-tię na klarnet w B-dur, któ-rej melodia przypominała starszym marynarom hymn sultana. Pewność jednak nie-byla. Wówczas admirałcja przelała znalezione nuty wraz z memorandum do Fo-reign Office z prośbą, by służba dyplomatyczna Jej Królewskiej Mości sobie do-stępnymi kanałami znalazła, czy partia na klarnet jest identyczna z hymnem sulten-skim.

Prośba admiralacji zo-stała doceniona przez naj-wyższe czynniki minister-stwa spraw zagranicznych. Generalny konsul brytyj-ski w stolicy Maskatu ob-ciążony został pełną mi-sją. Sir John Fleetwood Stewart Phillips z rado-scią powitał okazję do przetrwania nudy i raził się w wir poszukiwań z e-nergia, jakby chodziło o najmniej o przygotowanie konferencji na najwyż-szym szczeblu. Przez sześć tygodni krążył Phillips wzdłuż i wszerz sultanatu. Przetrasnął bazyry i za-glądał w zakamarki brud-nych podwórek. Im więcej oddawał się tym żmudnym poszukiwaniom, tym jego zadanie wydawało się trudniejsze. Konsul Phil-lips zdolał bowiem stwier-dzić, że hymn sultana zo-stał już od dawna zapo-mniany przez jego podwład-nych.

„Od 1937 roku — kabołwał Konsul Phillips do Londynu — nie posiada sultanat żadnej orkiestry. Zaden z po-danych sultana nie umie od-czytać nut, bo zresztą uzna-wane byłoby to przez ludność za szlachę.”

Generálny konsul nie za-przeszał swych wysiłków je-dnak tak długo, aż w końcu nie natrafił na płytę gramo-fonową, która według wszel-kiego prawdopodobieństwa miała zawierać poszukiwany hymn. „Jedynym dowodem na to — depešował konsul do Londynu — jest świadectwo pewnego starego mieszkań-cy Maskatu, który po wysłucha-niu płyty oświadczył, że przy-pomina mu melodie, jaką często grała orkiestra jed-nego pułku piechoty sulta-na”.

To wystarczyło jednak admiralacji. Prawdziwy czy nie, marsz zapisany na płycie, uznano stroną brytyjską za hymn

JAN

Kto kim?

Hayato Ikeda

Nowo obrany parlament ja-poński powołał na stanowis-ko premiera Hayato Ikeda, tego samego, który latem br. stanął na czele rządu, po usta-pieniu Kishi. Po Kiszim prze-jął wówczas całą jego polity-kę, z uległością wobec Stanów Zjednoczonych na czele. Tak samo jak Kishi, zmuszony do ustąpienia przez opozycję prze-ciwno układów wojskowemu z USA, również Ikeda gorąco zwolennik tego układu, do-przeciwko sobie postępowe siły narodu. Co prawda wybory, do których Ikeda prowadził rządzącą partię liberalno-demokratyczną, zapewniły mu większość w parlamencie, to jednak nie dano wymarzonej przewagi głosów, która um-ożliwiłaby rewizję konstytu-cji. Nie pozwala ona bowiem na pełną militarną Japo-nię. A Ikeda nie ogranicza się tylko do paktu z USA, chci-ąc także samą Japonię wcią-gnąć w wysiłek zbrojeni, odbu-dować jej militarną potęgę.

Hayato Ikeda urodził się w 1899 r. Dawnym zbiegiem okoliczności pochodzi z rejonu Hirozimy, co nie przeszkadza mu obecnie w gorącym popar-ciu układu wojskowego z USA. Ikeda studiował w Kioto, w 1925 r. zaczął pracować w mi-nisterstwie finansów, jako se-kretarz biura podatkowego. W 1945 r. objął kierownictwo tego biura, a następnie prze-z dwa lata, był wiceministrem finansów. Po raz pierwszy wybrany został deputowanym do parlamentu w 1949 r. W tym roku objął także tekę mi-nistra finansów, którą piastował do 1952 r. Potem był ko-lejnym ministrem handlu zagra-nicznego i przemysłu, znowu finansów i w końcu ministrem bez teki. W gabinecie Kishi kierował znowu resortem han-dlu zagranicznego i przemysłu.

Przewodniczącym partii li-beralno-demokratycznej a na-stępnie premierem, został Ike-da po ostrej rozgrywce w sze-regach własnej partii. Jest więcej amatorów do władzy. I z tej strony grozi mu rów-nież niebezpieczeństwo, jak z strony opozycji, przeciwej jego polityce.



Przejażdżka po Agadirze

Litery w tytule ozna-czają Bratysławę i Bu-dapeszt, które to miasta mialem możliwość obej-rzeć w minionym se-zonie letnim. Sezon letni w Polsce był, jak wiadomo, niezwykle deszczowy i zimny. Natomiast na południe od Karpat, zarówno w Braty-sławie jak i Budapeszcie odznaczał się jednakowymi w tej porze roku, wysokimi tem-peraturami. Może dlatego w Słowacji już w czerwcu wi-dzi się zapuszczone żaluzje w oknach, nie mówiąc o spalo-nej słońcem nizinie węgier-skiej.

Bratysława ma swoich do-brych znajomych i prawdzi-wych zwolenników w Krako-wie — należy do nich w pierwszym rzędzie Teatr Im. Słowackiego, którego dyrek-tor i zasłużony reżyser, wy-stawił na scenie bratysław-skiego Narodnego Divadla „Balladynę”.

Odwiedziłem w Bratysławie są dia krakowianina niezwykle przy-jemnego. Po pierwsze dlatego, że wszyscy jakoś tak mówią „prawie, że po polsku” (Słowacy nato-miast twierdzą, iż „wszyscy Po-lacy mówią tak jak po slo-wacku”). Po drugie dlatego, że historia narodów Czechosłowacji i Polski jest niezwykle bliska i często biegnie równoległymi e-pokami. Wystarczy tu powiedzieć, że znakomici pisarze epoki odro-dzenia narodowego Słowacji zna-li, czytali i tłumaczyli Mickiewi-cza oraz Słowackiego. Po trzecie dlatego, że w Bratysławie działa „Polska Strzecha”. Ten ośrodek informacyjny i kulturalny gro-madzi pisma i takie wydawni-cwa polskie. W lecie zastępowała tam kierowniczką ośrodka pewna pani Polka, która wyszła za mąż za Słowaka. Bardzo się rozczuliła ocnnością Polaków w Bratysła-wie i opowiadała, że ośrodek odwiedzany jest czasem i przez 500 osób w ciągu jednego dnia!

Wszystkich „praktycznych” turystów zawiadamiam ni-niejszym, że zamykam poczyni-łe w domach towarowych w Bratysławie mogą być już z równym powodzeniem doko-nane w domach towarowych

Krakowa, czy Warszawy... Z tą małą jednak różnicą, że Bratysława posiada mnóstwo wygodnych tów. supermarke-tów. Te wielobranżowe, małe domy towarowe znajdują się na ogół w dolnych pomieszczeniach kamienic. Obsługa jest niezwykle staranna i szybka. W domu towarowym „Dunaj” prowadzącym tylko w wyłącznie sprzedają obuwia (trzy piętra, parter, piwnica) peraturami. Może dlatego w Słowacji już w czerwcu wi-dzi się zapuszczone żaluzje w oknach, nie mówiąc o spalo-nej słońcem nizinie węgier-skiej.

Skoro zaczęliśmy o sklepach — można i o restauracjach. Za du-żo poprzyk, za dużo piwa, ale za to mało wódki — to właściwie bar-dzo dobrze! Gulasz z knedlami kosztuje 7,80 koron. Bardzo ple-cze. Okazuje się, że mniej niż w Budapeszcie.

Nie ma mowy, żeby któryś z mieszkańców Bratysła-wy nie przestrzegał zasad ru-chu ulicznego. W centrum stolicy Słowacji na zbiegu głównych ulic stałem specjalnie z zegarkiem w ręku przez pół godziny i nie za-notowałem ani jednego zej-sia na jezdnię przy czerwony-m światłach (niedaleko gmachu Narodowego Banku Czechosłowacji i budynku Kasy Oszczędnościowej).

Bary samoobsługowe są czyste i panuje w nich porządek nie dlatego, że krzyżczy sprzedająca i kasjerka, ale również dlatego, że nikt nigdy nie burzy porządku w ogonkach.

W Teatrze Dramatycznym im. Hviezdosława przedsta-wienia wykupywane są w systemie abonamentowym za-równo przez osoby prywatne, jak i zbiorowo przez zakłady pracy.

TERAZ TO SAMO O BUDAPESZCIE.

Olgiard Jędrzejczyk

BB

„Gazecie” o Budapeszcie, gdzie spotykamy sporo nazw związanych z Polską. W sprawie bliskości języków. słowiańskich i węgierskiego — muszę odesłać czytelników do słownika etymologicznego Brücknera, który twierdzi, że Węgrzy słowiańska „ulicę” skrócili w „ulca”, a słowiań-skie „województwo” — w „wajędę”, co najczęściej wy-stępuje u nas w. nazwiskach. Na wsi zaś nazywa się „waj-dy” — przodowników grup cygańskich.

Domów towarowych Buda-pesztu ma sporo. Jeden z naj-większych znajduje się w po-bliżu Teatru Narodowego. Węgierskie obuwie luksusowe jest wspaniałe. Pantofle dam-skie zawsze wykonane zgod-nie z najmodniejszą linią. Sprzedawcy jak zwykle u-przejmi i panuje w nich porządek nie dlatego, że krzyżczy sprzedająca i kasjerka, ale również dlatego, że nikt nigdy nie burzy porządku w ogonkach.

Budapeszt jest obłężym miastem. Pisano często o stolicy Węgier, że przeżyła w niej styl secesji. Powiedziałbym, że cechą najbardziej charakterystyczną Budapesztu — jest jednak widok z niszczących pełną parą i rozbu-dowywanych zakładów przem-yślowych. Rzeczywiście dość nie-żyłkie wrażenie, kiedy się prze-jedzie tramwajem i w odległo-ści, powiedzmy 40 m od okna tego wehikułu — sterczy olbrzymi kadłub nowo budowanego statku w sroczni budapeszteńskiej...

Restauracje budapeszteńskie są niezwykle wytworne i peł-no w nich „rezerweryjnych”

kelnerek władających z re-guły dwoma językami, poza węgierskim węgierskim. Gulasz węgierski, który spożyłem w restauracji na ul. Dembinskie-go — był 5 razy bardziej ostry, niż gulasz bratysław-ski. Bardzo smaczna jest pa-pryka kiszona, przypomina w smaku po prostu kiszoną ka-pustę ale jest bardziej od tej kapusty ciępska.

Milicjanci budapeszteńscy są bardzo uprzejmi i podobnie, jak nasi — dysponują planami miasta. (Myślę o milicjantach kra-kowskich, warszawskich i wro-clawskich). Najbardziej jednak „polskim” akcentem Budapesztu jest sprzedaż ulicznych pić. W ludowe stroje odzianych lalek. Panie sprzedające te lalki przy-pominają bardzo krakowskie przekupki z Rynku. Myślę oczy-wicie o żywciości sprzedają-cych.

Wiadomo, że teatry i opera budapeszteńska reprezentują niezwykle wysoki poziom ar-tystyczny. Pisałem już o roz-rywkach w Vidam-Parku i występach teatru lyżniarzy, który odwiedził niedawno Polskę. Główny urok Buda-

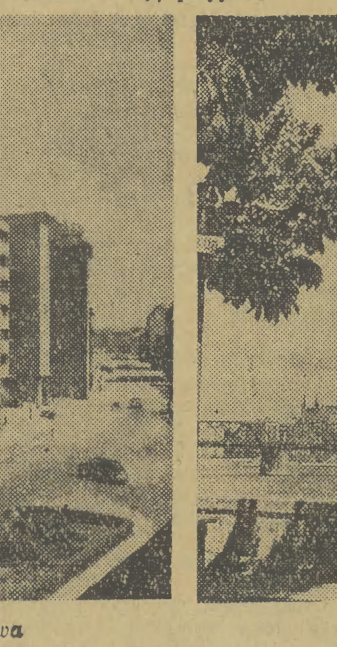
pesztu, to jego znakomita ga-leria malarstwa światowego i węgierskiego.

No i wreszcie Dunaj. Wspania-ła, piękna rzeka, która dzieli sto-liec Węgier na Budę i Peszt. Pa-trzyłem na tę rzekę ze Wzgórza Wolności. Dunaj przepływa raz między terenami płaskimi, raz wznosi się w skały, które czoł-więkowi będącemu w Budapeszcie po raz pierwszy w życiu — często kojarzą się z wysokimi zardzewiałymi ścianami statków budowanych w stoczniach nad-dunajskich. Dunaj jest również dobroczynną stolicą Węgier, bo właśnie nad tą rzeką położone są piękne, podmiejskie miejscowości wypoczynkowe. Wiodą doń bardzo oryginalne, nowoczesne, wylotowe szosy. Często dwupo-ziomowe, biegną trzema pasmami. Dla pojazdów mknących z szyb-kością ponad 100 km przeznaczo-ne są środkowe części autostrad.

Budapeszt potwierdza wyobra-żenia o nim ludzi, którzy oglą-dają to miasto po raz pierwszy w życiu. Zarówno w wieczoro-nych kabaretach, gdzie grają cy-gańskie orkiestry jak i na ulicy, gdzie przechodnie wobec cudzo-ziemców manifestują zawsze grzecznym obejściem i informacjami — swoją przyjaźń.



Bratysława



Budapeszt

Wśród młodych krajów afrykańskich jest „weteranem”, który liczy sobie już 5 lat nie-podległego bytu. Przedtem za-nal 44 lata francuskiej szkoły kolonialnego panowania, a jeszcze wcześniejsza historia jego była zawiłana i pełna sprzecz-ności. Do ostatniego dalszocio-łca był to po Tybecie najbar-dziej hermetycznie zamknięty obszar zardzieńszczyzny strze-gący swych tajemnic. Oczyszczania lu-dzi, których los nie gładził. Francuzi zwali ich sułtanie „euchajami szakalami”, oni odpowiadali zawzięta, fanatycz-ny nienawiścią. Marokańczycy.

W czasach francuskiej władzy kolonialnej w Ma-roku popularna była taka przypowieść: „Naród to krowa. Do niej basza, kaid i szeik. Dawniej, gdy krowa miała już tego dość od-wracała się i bodła rogami na śmierć. Musieli więc u-ważać. Dziś krowę za rogi trzymają Francuzi — ba-sza, kaid i szeik już się jej nie boją...”

A jednak i Francuzi nie pomogli. Trudno się dziwić. Berberzy i Arabowie, o któ-rych dziś mówimy po pro-stu: „Marokańczycy” są na-rodem klasycznie wyćwi-czonym przez historię.

Marokańczyk jest odważny, śmiały i ambitny. Od średnio-wieczna walczy i poddaje się rzadko. Gdy walczy dłużej nie może proponuje zwycięskiemu przeciwnikowi ostatnią bitwę w szczerym polu zwaną baru-dem honoru. Kończy ją aman — ceremonialna kapitulacja.

Ostatni wypadek tego obrzą-dku zanotowały taśmy filmowe i magnetofony radia. W 1935 r. tuż przed wywołaniem się Fran-cuzów z Maroka po utopieniu we krwi buntu berberskiego, kolonizatorzy zainicjowali raz jeszcze ten tradycyjny ob-chód. Szczep składał ofiarę po-koju, kobiety berberskie zgo-dnie ze zwyczajem wyprowa-dziły przed front byka, które-



Podróż obyczajowa

MAROKO

go dobito. Zwycięzcy odśpie-wali pieśń sławy. Średniowiec? Zapewne. Tylko po jednej stronie była tradycja obrzędowa prymityw-nej kultury, a po drugiej nowoczesne czołgi, samoloty i... szlachetna Francja.

W niepodległym Maroku ani amanu, ani ofiary z byka-targiły nie zanotowano. Dziwny naród...

Berber i Arab jest fata-listą i śmierć przyjmują bez strachu ale i egzaltacji. Jest dla niego rzeczą nor-malną — często powtarza przeciętne słowo „mektub” tzn. „napisane”. Jest także poligamistą z zasady, choć w praktyce rzadko z wielo-żeństwa korzysta. To już rezultat islamu, który wy-znaje. Inny na pewno pozy-tywny rezultat: mahometan-ie nie pija alkoholu. Cóż nam Polakom pozostaje jak westchnąć w tym miejscu...

Marokańczyk jest zdolny, ży-wy, skłonny do entuzjazmu i zdobywania wiedzy. Ma fan-tastyczny talent do języków, których uczy się błyskawicznie. Marokańczyk lubi się bawić, jest pogodny, a nawet wesoły. Sceneria zabaw jest opetań-czo barwna i bogata. Wystar-czy zobaczyć tradycyjny taniec achwasz. Ponad setka różnych wykonawców, białe burnusy, kindzyl na czerwonych rap-ach i białe tancerki na do-datek. Nawet zbliżowani Europejczycy dostają podobno gorączki, oglądając synów pu-styni...

Marokański styl życia? Oto parę szczegółów.

Cały naród od sultana do niedzarda zwraca się do sie-bie per ty.

Kobiety nie zasiadają przy stole razem z męż-czyznami.

Potrawa narodowa — sek-mi, są to piramidy kaszki, w któ-rej toną kawały kury i jarz-y. Do sosu lepiej się odnosić z rezerwą. Wzynał kaze po podaniu sek-mu wazdał rękę w kaszkę, wyciągnął zawar-tość, ugrypsł w kulkę i zjeść. Można i tak.

Herbata jest napojem na-rodowym i stanowi kulmi-nacyjny punkt przyjęcia gości.

Specjalnie dostojnych gości wita się w drzwiach mlekiem i daktylami, odpowiednikiem naszego chleba i soli. To już oznaka czci i przyjaźni.

Na pewno można by też po-wiedzieć, że Marokańczycy są dziecy, nieufni i ciemni, że są fanatycznymi nacjonalistami. Są. Zawiązują to po części blaskiem dobrodziejstw. Kultury nie im nie usztywnia. A cywilizacja francuska pozostawia im w spadku m. in. 150 tys. miasto „blaszankę”, dom-ków z blachy falistej na przedmieściach supernowcze-snej białej Casablanki. Nieu-mieć trudno się dziwić. Ciem-ność — też nie za bardzo. Pół lat niepodległości to nie-wiele wobec historii wieków. Co prawda nudy, ale nie ma klarnetu. Dostarczyćby mu klarnet, niestety szef cemu-moni na dworze sultana, który mógłby zidentyfikować melodię, jest głuchy jak pień.

18